ILUSTROWANY
GŁOS NARODU

z dnia 7. Grudnia 1902 r.

KILKA SŁÓW

o Wieliczce i jej kopalniach

przez

Feliksa Piestraka, c. k. zarządcę salinarnego, z ilustracjami **Jana Czerneckiego**.

(Dokończenie).

Z wytwórczości soli w fragmentach 40 kilogramowych, lub też złamkach kilka kilogramów mających widzimy, że i sposób jej odbudowy musi być różnoraki. I tak jest w istocie; gdyż sole fragmentowe uzyskuje kopalnia przez zbijanie (odrywanie) ław solnych (kłapci) zapomocą klinów stalowych od ściany macierzystej (caliny) i rozbijanie (bańkowanie) ich na kawały 40 kg. mające, podczas gdy złamki, zapomocą rozsadzania ścian solnych, prochem ścieśnionym.

W pierwszym i drugim przypadku, należy otoczyć solną ścianę czterema winkami (kosami, sztamami), dwoma poziomemi i dwoma pionowemi i wyzyskując łupliwość soli, odbijać (zbijać) ją, zapomocą klinów, lub też skruszyć miną prochową.

Zbijanie oszramowanych kłapci ściennych opisują bardzo charakterystycznie i pięknie przodkowie nasi (Dawne Zapiski o Wielickiej kopalni soli — F. Piestrak, Wieliczka 1902, str. 26-ta).

„I wybiwszy onę sztukę soli, którą otworem albo wybojem zowią, dopiero nią sztachnie, albo raczej dziury tryni, w które kliny żelazne od wierzchu aż do spodku zasadza, a potem w nie zrazu powoli nie tylko bije, ale prawie tyka, aż kłapeć pocznie jakoby orzechy gryźć, dopiero bije mocno, aż ona sztuka soli w kłapciu odstanie, a potem na spodek spadnie, za tym pierwszym zbitym kłapciem insze wszystkie, póki ściany staje, tymże sposobem jednego za drugim aż do końca kopacz zbija".

W czasach ubiegłych, kiedy jeszcze nieznano materjałów rozsadzających, względnie gdy ich jeszcze nie stosowano do kopalnictwa, wytwarzano jedynie sól kawałową, a więc zapomocą zbitki. Uzyskane kawały zwano bałwanami (z łacińsk. baucus), wielkość zaś ich, a więc i ciężar był rozmaity, stosownie do ich przeznaczenia. Przed kilkunastu laty znano jeszcze „bałwany" w kopalni wielickiej, dziś należą do historji, i czasem tylko w niektórych opuszczonych komorach lub zapadłych drogach podziemnych, spotykamy jeszcze ów zabytek minionej przeszłości. Brak mechanicznych środków do przewożenia soli w kopalni służących, ukształtował sobie bałwany, nadając im postać beczki, którą możemy łatwo toczyć, mimo znacznego ciężaru. Z wprowadzeniem kolei w kopalniach, nastąpiła zmiana w tym kierunku, że jednak „bańkowanie" dotąd pozostało, należy to przypisać przyzwyczajeniu się okolicznych kupców do nabywania soli w stanie naturalnym, przyzwyczajeniu, które stało się ich drugą naturą, na którem w znacznej mierze cierpi kopalnictwo.

Cała kopalnia zatrudnia przeszło 1000 robotników, pracujących częścią w akordzie (w dniówkach ugodowych), częścią w dniówkach zwykłych, tj. za zapłatą według stopnia płacy, do jakiej należą. Żeleźnicy, zatrudniani przy odbudowie soli lub robotach wstępnych i przygotowawczych, a zatem kruszacy i wyrabiający fragmenta, strzelcy, wytwarzający sól w kawałkach, i piecowi, którzy pędzą (piece) drogi kopalniane, otrzymują zapłatę polegającą na wyznaczeniu jednostki ceny za 1 decymetr szramu (wzinki), stosownie do twardości kamienia. Reszta robotników zwana wozakami, pracuje przeważnie w dniówkach zwykłych, z wyjątkiem niektórych robót, jak wynoszenie fragmentów lub miału solnego z miejsc odbudowy na poziomy koleje posiadające, lub nakładanie fragmentów na wózki kopalniane, które są również objęte akordem.



DWORZEC Hr. GOŁUCHOWSKIEGO.

Przewózka pozioma urobku odbywa się przy pomocy kolejek kopalnianych i wózków, zwanych skrzyniami i wagonami, które poruszają konie lub odpychają wozacy, zależnie od odległości. Skrzynie tj. wózki z silnej blachy sporządzone, służą do przewożenia złamków solnych, solnej miałczyzny, rumów, lub wreszcie ziemi do zasypywania pustek kopalnianych używanej. Do przewożenia fragmentów solnych i wszelkiego rodzaju materjałów służą wagony bez ścian, których boki krótsze są żelaznemi oparciami zaopatrzone.

Siłę pociągową tych wózków stanowi obecnie 16 koni, umieszczonych w dwóch stajniach, gór wschodnich i zachodnich. Odżywione dobrze i nie pracujące nad siłę — trzymają się znakomicie, i nieraz lat kilkanaście pełnią swą służbę głęboko... pod ziemią.

Do spuszczania soli z komór lub poziomów wyższych, na poziomy niższe tj. głębiej leżące, służą pochylnie hamulcze poruszane samodziałająco lub też szybiki kopalniane w podobny sposób urządzone. Przewózka wreszcie pionowa, odbywa się przy pomocy wiader i kołowrotów ręcznych, albo klatek gończych silnicami parowemi poruszanych.

Drogi kopalniane pędzone w soli lub twardym kamieniu nie wymagają obudowy (wyprawy) i trzymają się całe lata znakomicie. Przeciwnie, drogi w iłach solnych, kruchych i sypiących się marglach, lub wreszcie w takiej materji wykute, która jest wystawiona na znaczne ciśnienie warstw górnych lub bocznych, wymagają sztucznego wzmocnienia drzewem, żelazem lub murem. W Wieliczce widzimy przeważnie obudowę (wyprawę) drewnianą, rzadziej murowaną lub żelazną. Drzewo, przesiąka i nasyca się z czasem solą do tego stopnia, że twardością swą przechodzi najtwardsze ciała, można powiedzieć kamienieje, gdy tymczasem żelazo niszczeje szybko, słoną wilgocią trawione kruszy się i rozpada. Wyprawa murowana utrzymuje się również wyśmienicie, jest jednakowoż znacznie kosztowniejszą i dlatego jedynie w szybach używaną.

W komorach solnych wznosi Wieliczka „kaszty" od czasów niepamiętnych, które pochłonęły całe lasy, przenosząc je z góry pod ziemię. Ten rodzaj wzmocnienia tj. wyprawy, jest nadzwyczaj kosztowny, jednakowoż konieczny, przy obecnym systemie odbudowy. Tu i ówdzie spotykamy także kaszty murowane t. j. wzniesione z nieczystych solnych kawałków, powiązane drewnianymi krąglakami i wypełnione rumami. Wytrzymałość takiego kasztu jest bardzo mała, i z tego względu wykonujemy jego budowę tylko w razach wyjątkowych.

Przewiew kopalni Wielickiej jest naturalny, dzięki wielu szybom w różnych wysokościach nad poziomem morza leżącym, i tylko w chodnikach od szybów głównych odległych, doprowadzamy powietrze drogą sztuczną, za pomocą młynków (wentylatorów) powietrznych, ręcznie poruszanych.

Przeciętna temperatura kopalni wynosi + 11° Celsiusza — zaś roczna wytwórczość soli, do celów spożywczych i przemysłowych używanej okrągło 1000000 metrycznych cetnarów.

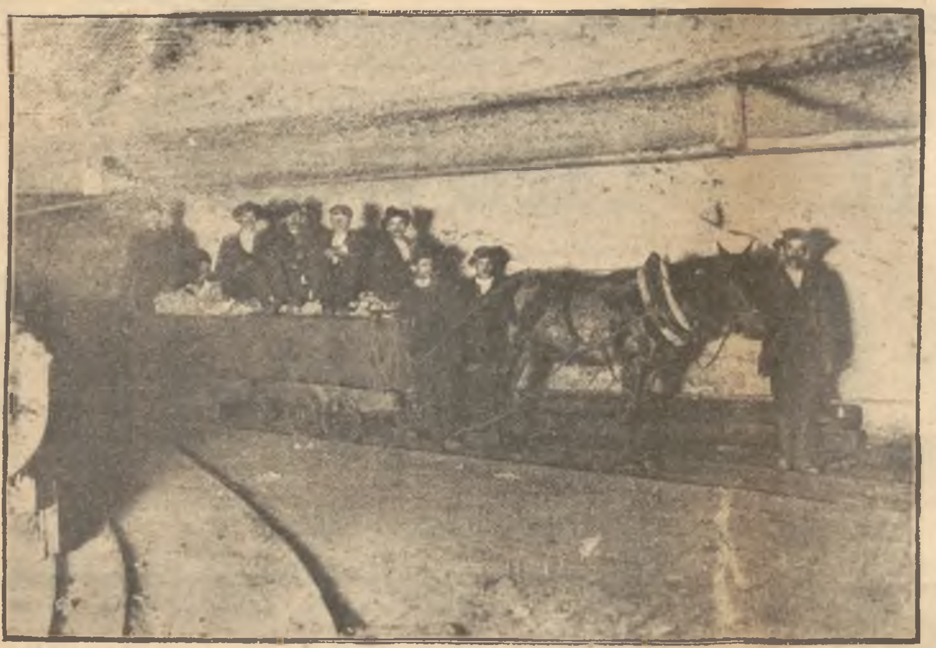
Wieliczka w listopadzie 1903.

Feliks Piestrak
c. k. zarządca górniczy.

A. P. CZECHOW.

Żywa Chronologia.

Salon radcy stanu Szaramykina zalega przyjemny półmrok. Wielka lampa bronzowa z zielonym abażurem rzuca zielonkowe światło ala „noc ukraińska“ na ściany, meble i twarze... Od czasu do czasu w dogorywającem na kominku ogni-



WOŻENIE SOLI.

sku błyska płomyk i oświeca oblicza niby łuna pożaru, ale to nie psuje ogólnej harmonii światła... Ogólny ton, jak mówią artyści, jest należycie utrzymany.

W fotelu, przed kominkiem, w pozie człowieka, który dopiero co spożył obiad, siedzi sam Szaramykin, mężczyzna leciwy, o siwych urzędniczych bokobrodach i łagodnych niebieskich oczach. Na twarzy jego maluje się słodycz, wargi ułożone są do smętnego uśmiechu. U jego stóp, wyciągnąwszy swoje nogi ku kominkowi i przeciągając się leniwie, siedzi na podnóżku wice-gubernator Łopniew, tęgi mężczyzna, liczący około czterdziestu lat wieku. Koło pianina kręcą się dzieci Szaramykina: Nina, Kola, Nadia i Wania. Przez zlekka uchylone drzwi, wiodące do gabinetu madame Szaramykinowej, przeciska się nieśmiało światło. Tam, po za drzwiami, siedzi przy biurku żona Szaramykina, Anna Pawłowna, prezesowa miejscowego komitetu pań, żywa i interesująca osoba, licząca lat trzydzieści z okładem.

Czarne jej, bystre oczy przebiegają po stronicach francuskiego romansu, pod którym spoczywa poszarpane sprawozdanie komitetu za rok ubiegły.

— Dawniej nasze miasto było szczęśliwsze pod tym względem, — mówił Szaramykin, mrużąc łagodne swe oczy i wpatrując się w żarzące na kominku głownie. — Nie było prawie ani jednej zimy, żeby nie zawitała do nas jaka gwiazda. Bywali i znakomici aktorowie i śpiewacy, teraz zaś... licho wie co się dzieje! Oprócz magików i kataryniarzy nikt do nas nie zagląda. Niema żadnej estetycznej rozrywki... Żyjemy, jak w lesie... Tak, tak... A pamiętasz, ekscelencjo, tego włoskiego tragika... jakże on się nazywał? Brunet, wysoki... dajże Boże pamięć... Ach, prawda! Luigi Ernesto de Rugierro... Talent niesłychany... Siła! Słowo jedno powie a cały teatr trzęsie się od oklasków. Moja Aniuta była wielką wielbicielką jego talentu. Wystarała się dla niego o salę teatralną i bilety na dziesięć przedstawień rozsprzedała... On zaś, przez wdzięczność, udzielał jej lekcyj deklamacji i mimiki. Luby to był człowiek! Przyjechał tutaj, żebym nie skłamał... dwanaście lat temu... Ej, nie... Mylę się... Niema dziesięciu lat chyba... Aniutko, ileż lat ma nasza Nina?

— Dziesiąty rok! — woła ze swego gabinetu Anna Pawłowna.

A o cóż to chodzi?

— O nic, mamusiu, tak się spytałem... I śpiewacy wybitni dawniej przyjeżdżali... Pamiętasz pan tego tenore di grazia, Prilipczina? Jakiż to był miły człowiek! A co za powierzchowność! Blondyn, o wyrazistych rysach twarzy, o manierach paryskich... A jaki głos! Szkoda tylko, że wydobył niektóre tony z żołądka i że brał „re“ fistułą... zresztą, śpiewał znakomicie! Mówił, że się uczył śpiewu od Tamberlicka... Wystaraliśmy się z Aniutą dla niego o salę w Klubie, to też aby nam się wywdzięczyć śpiewał nam po całych dniach i nocach... Uczył też śpiewu moją Aniutę... Było to, pamiętam jak dzisiaj, w czasie wielkiego postu, przed... przed dwunastu laty. A może i więcej... A to pamięć dopiero, panie odpuść! Aniutko, ileż lat ma nasza Nadia?

— Dwanaście!

— Dwanaście... jeśli zaś dodać dziesięć miesięcy... Ano, tak jest... akurat trzynaście! Dawniejszymi czasy jakoś więcej życia bywało w naszem mieście... Ot, choćby naprzykład i wieczory na cele dobroczynne. Jakież to świetne bywały u nas wieczory, aż miło! Śpiewano, grano, deklamowano... Po wojnie tureckiej, pamiętam, kiedy tu u nas byli internowani jeńcy tureccy, Aniuta urządzała wieczór na rzecz rannych. Dochód wyniósł wtedy tysiąc sto rubli... Oficerowie tureccy, pamiętam, byli oczarowani głosem Aniuty, ciągle ją po rękach całowali. Cha-cha-cha... Chociaż to niby Azjaci, ale wdzięczny z nich naród. Wieczór powiódł się tak znakomicie, że zapisałem sobie wspomnienie o nim do pamiętnika. Było to, pamiętam jak dzisiaj, w roku 1876... Nie! W 1877... Ach, nie! Czekajże pan, kiedyż to byli ci Turcy? Aniutko, ileż lat ma nasz Kola?

— Ja mam siedm lat, papo! — odzywa się Kola, śmiały malec o smagławej twarzy i czarnych, jak węgiel, włosach.

— Tak, postarzeliśmy się i brak nam już tej dawnej energii!... — mówi z westchnieniem Łopniew. — Ot i przyczyna... Starość, łaskawco! Nowych inicjatorów niema, a dawni się zestarzeli... Niema już tego ognia! Kiedy byłem młodszy nie znosiłem, żeby się towarzystwo nudziło... Byłem też prawą ręką Anny Pawłownej... Czy to chodziło o urządzenie wieczoru na cel dobroczynny, czy loterji, czy też o poparcie jakiej przyjezdnej znakomitości — wszystko porzucałem i rozpoczynałem zabiegi... Jednej zimy, przypominam sobie; takie starania czyniłem i tyle się nabiegałem, że aż się z tego rozchorowałem... Nie zapomnę nigdy owej zimy!... Pamiętasz też pan to przedstawienie, jakieśmy wówczas urządzili z Anną Pawłowną, na korzyść pogorzelców?

— Tak, ale w którymże to było roku?

— Nie tak dawno... W siedmdziesiątym dziewiątym... Nie, w ośmdziesiątym, zdaje mi się. Pozwól no pan, ileż lat liczy pański Wania?

— Pięć! — woła z gabinetu Anna Pawłowna.

— No, minęło zatem sześć lat... Tak, tak, inaczej bywało! Teraz to już nie to samo! Niema już tego ognia!

Łopniew i Szaramykin zamyślają się. Tlejąca na kominku głownia wybucha poraz ostatni płomykiem i pokrywa się zwolna białym popiołem.

Tłóm. z ros. *G. W.* *

ŚNIEG.

Ani gnane przez wichurę,
Ni przez gniewny pęd zamieci,
Leci ptactwo srebrnopióre
Leci, leci.
Bieli nagie drzew kontury,
Dachy domów, gzymsów brzeg...
Leci, leci srebrnopióry
Śnieg...
A hej, za nim, uroczyście,
Na rumaku na ognistym,
Poprzez srebrne drzewin kiście
Z chrzęstem, świstem
Rozsypując białe szrony,
Kryształowy ciągnąc wóz,
Mknie skrzypiący, roziskrzony
Mróz...
Lecą, lecą jasne pany,
A za nimi, hen — przez pola,
Wytartemi lśniąc łachmany,
Szara dola.
Wlecze nogi przez zawieje,
Trwożnem okiem patrząc w lód
Zkąd się czai, wieje, wieje
Głód...

„Szary motylek“.

Piotra Loti.

W domu rodzinnym, w osobistym moim pokoju, będącym niejako cząstką starożytnego wschodu, — podczas mglistego wiosennego wieczoru, pomiędzy ciemnemi i prawie łączącemi się firankami, przesuwa się smutno promień zachodzącego światła, odznaczając się długą kresą w przyćmionej przestrzeni.

Z pomiędzy zagięć czerwonego aksamitnego obicia, ozdobionego przedwiecznemi, złotem haftowanemi wzorami, coś niezmiernie maleńkiego, wysuwa się, jakby niewidzialną siłą przyciągnięte ku tej smudze umierającego dnia, — a wśród niej zaczyna uwijać się zaledwie dostrzegalny szary motylek, źdźbło skrzydlate, które niezawodnie zbudziło się do życia z nadejściem bladej, tegorocznej wiosny.

W poprzedniej porze roku, podczas gdy ja podróżowałem wśród mórz chińskich, on był szkaradnym jakimś maleńkim robaczkiem, — toczącym cichaczem kosztowny aksamit — wśród bezustannej ciszy tego pokoju.

A dziś ten atom upajał się zupełnie nowem życiem i ta maleńka przestrzeń wydawała mi się wielką, a ten zmrok światłem. Była to godzina jego młodości i jego rozkoszy — godzina jego miłości i cel i uwieńczenie całej jego pośledniejszej istności poczwarki. Spiesznie, spiesznie, w gorączkowym szale, poruszał swe skrzydełka z pyłu jedwabistego, zataczając niemi wesołe a dziwaczne kręgi...

Przechodząc, nierozważnym szczutkiem przyczyniłem się do jego upadnięcia. Wtenczas na ziemi, na czerwonem tle wschodniego purpurowego kobierca, dostrzegłem znowu to maleńkie, znękane ciałko, wstrząsane dreszczami konania i, przez litość, aby bez dalszych cierpień pogrążyć je znowu w nicestwie wszechrzeczy, — postawiłem stopę na jego mikroskopijnej walce z śmiercią.

Następnie zamyśliłem się na chwilę... Cóż mi to przypomniało? Coś prawie podobnego takiego samego, rodzaj równego temu drgania, podobne szare motylkowanie niegdyś, gdzie indziej, wprawiło mnie w taki sam krótki, ale głębszy smutek... Gdzież ja to widziałem?

— Ah! tak!!... W Konstantynopolu, podczas ponurego jak dzisiejszy kwietniowego wieczoru, na drewnianym moście, który łączy Stambuł z Perą!.. Przechodziłem o zmierzchu dnia wiosennego, równie mglistego, jak dziaj. Wszyscy żebracy, nawiedzający to miejsce, byli na swoich stanowi-



POCHYLNIA HAMULCZA.

skach; wzdłuż poręczy ukazywały się rzędami ich zwykle znajdujące się tam twarze: niewidomi, garbaci, idjoci, stoczeni ranami. Pomiędzy innymi, w rozpaczliwym stanie dziecko, mogące mieć cztery do pięciu lat, z rękami skurczonemi, z choremi oczami, codziennie nieruchome na tem samem miejscu, nad brzegiem chodnika skulone na swoich łachmanach, apatyczne i powolne jak poczwarka.

Przemykali się ludzie, zajęci własnemi sprawami albo bezcelową przechadzką, jeźdźcy, powozy, mężczyźni w czerwonych fezach, osłonięte

piękności haremu. A za temi tłumami Stambuł wznosił z przepychem swoje kopuły na tle smutnego, zamroczonego nieba.

Łagodnym i miłym prawie głosem kobiety bez nóg zawołała na swego malca, mówiąc po turecku: „Chodź włożyć na siebie płaszczyk, Mahmud, przyjdź prędko, otóż zimny wiatr nadchodzi“.

Wstał posłusznie i przyszedł. Jego płaszczyk, to stary, mały, wytarty, brudny burnus, szarawy, w niepewne jakieś paski, zrobiony wschodnim krojem z kapiszonem.

Matka jego podawała mu ten łachman, a on podsuwał swe drobne ramiona, zakończone długiemi, zakrzywionemi rękami.

Ale nagle, zanim drugi rękaw był wciągnięty, uciekł w nagłym napadzie pustej wesołości i zaczął biegać, biegać, zataczając szalone kręgi przed przechodniami i w coraz to zimniejszym wietrze bawił się, trzepocąc swemi rękawami jak skrzydłami.

Odrobina wietrznej, a tak nietrwałej młodości, źdźiebełko rozbawionego dzieciństwa na początku życia, które jest właściwem zarówno ludziom jak zwierzętom, obudziło się przypadkiem w tem dziecku.

Pomiędzy swymi przodkami musiało mieć ono, jak i wszyscy inni ludzie, istoty zdrowe, znające porywy fizycznej radości, tej prostej uciechy istnienia i możności poruszania się; wtenczas coś-kolwiek z tych zniknionych odżywało ukradkiem w jego wątłem, usychającem ciałku.

Przyglądałem mu się z zdziwieniem, bo znałem go tylko zawsze bez ruchu i dziwne jakieś wrażenie nieskończonego smutku ogarniało mnie na widok tej jego maleńkiej, tak nikłej wesołości, swawolnego biegania i motylkowania jego szarawego burnusa w tym oziębionym wietrze i w bladem świetle.

Matka pozbawiona nóg, niepokoiła się końmi, powozami; wołała, gniewała się, starając się doczołgać do niego, aby go uchwycić. Ale on wciąż się kręcił pomiędzy tłumami obojętnych przechodniów, kręcił się szalenie, podobny do szarej ćmy nocnej...

Wrócił jednak, aby przykucnąć na swem nędznem stanowisku; przybrał znów swą zgarbioną postać i nie ruszał się więcej. Skończyło się równie nagle, jak nagle się zaczęło.

Coś okrutniejszego, niż szczutek dany szaremu motylkowi, powaliło na ziemię tę małą, już myślącą istotę: niepokój o nocleg i wieczorne pożywienie; samowiedza, że jest tak różnym od innych, że martwe ma ręce i że jest pariasem.

Z pochyloną głową patrzał teraz na ziemię, z wyrazem twarzy przebiegłym i niedobrym, mrużąc swoje pełne bólu powieki.

Wyryta w mej pamięci łączność pomiędzy nim a szarym motylkiem, jest jeszcze ściślejszą niż to wyrazić zdołałem.

Jedzenie ziemi.

Zdarza się spotkać dziecko, chciwie połykające ziemię lub piasek, ale niejednemu z czytelników może niewiadomo, że pewne ludy stale jadają różne gatunki ziemi, choć analiza naukowa dowiodła, że ziemia wogóle niema żadnej wartości pożywnej.



WYBIJANIE CHODNIKA „HAUER“.

Pierwszy Aleksander Humboldt zauważył, że lud zamieszkujący brzegi Oriniko, jada glinę w wielkiej ilości. Zwrócona w ten sposób uwaga światu naukowemu dała pohop do zajęcia się badaniem tego zwyczaju i wyjaśnienia jego przyczyn, a wyniki tych prac i spostrzeżeń tu grupujemy.

Najpierw więc, jak powiedziano wyżej, zwróciło uwagę uczonego Humboldta plemię Otomaków, zamieszkałe w Ameryce południowej, które w porze deszczowej niemal wyłącznie żywi się delikatną gliną garncarską, barwy szaro żółtej, zabarwionej tlenkiem żelaza. W czasy suszy plemię to żywi się rybami, których ma podłostatkiem, na deser jednakże spożywa zawsze nieco ziemi, jako przysmak. Kilka pokrewnych Otomakom plemion koczujących również używa ziemi na pokarm. Jedno z nich jada glinę pieczoną w oleju; zauważyć jednak wypada, że ci, którzy zbyt zasmakowali w tej potrawie, chudną i posiadają cerę bardzo bladą. Nie sądzimy jednakże, aby ziemię na pokarm używano z potrzeby, — nie, stanowi ona przysmak, za którym niektórzy krajowcy przepadają. Odrywają oni kawałki gliny od ścian domów i chciwie zjedają. Są też pomiędzy nimi i smakosze: twierdzą oni, że nie wszystkie gatunki są równie smaczne i umieją gatunki smakiem odróżnić.

Kobiety zajęte wyrabianiem garnków z gliny, chętnie jadają ten materjał. Krajowcy z nad Rio Magdalena jedzą glinę tłustą, czerwonawą, zawierającą w sobie przegniłe cząstki roślin. Indjanie ze szczepu Ruyense z Guyany brazylijskiej i francuskiej używają na pokarm gałek glinianych, w dymie suszonych; w miarę, potrzeby skrobią te gałki i spożywają jako przysmak.

Na Pomorzu, w czasie wojny trzydziestoletniej, mieszano ziemię do chleba, a to samo czyniono później w Dessau i Łużycach. Ziemię tę nazywano mąką górską, a jest ona taka miałka, że nie trzeszczy pomiędzy zębami. Ziemia ta jest właściwie proszkiem ze skorup wymoczków.

Robotnicy w Francensbergu, w okolicach Lüneburga i w kopalniach piaskowca góry Kyfhäuser, smarują chleb, tak zwanem „masłem kamiennem“, które jest gliną delikatną.

Ową mąkę górską, o której wspomniano wyżej, Lapończycy sprowadzają z Niemiec wagonami i mięszają z mąką przy wypiekaniu chleba. Finlandczycy również jedzą chleb pieczony z mąki, mięszanej z ziemią z wymoczków. Na półwyspie Kolskim krajowcy zaspakajają głód ziemią, która jest sproszkowaną miką, nieposiadającą żadnej wartości pożywnej. We Włoszech koło Treviso i w Styryi mieszkańcy jadają glinę tłustą, chwaląc jej smak i przypisując znaczną wartość pożywną.

Na targach w Sardynii spotykamy placki pieczone z gliny, jako przysmak chętnie nabywany.

Murzyni z Gwinei jedzą ziemię żółtawą, — a wzięci do niewoli, skwapliwie poszukują wszędzie tego przysmaku, zwanego przez nich „Caonac“. Murzyni w Senegambii posiadają w niektórych miejscach ziemię mydlastą, a używają gałek z ziemi czerwonej, pieczonych w ogniu.

W bazarach miast perskich spotykamy różne gatunki ziemi, sprzedawane jako przysmak, a szczególniej cieszy się powodzeniem w handlu glina porcelanowa z Mahallat. Na archipelagu Malajskim w każdym handlu dostać można ziemi w różnych gatunkach, z których za najlepszy jest uważany „ampoh“. Mieszkańcy Jawy jedzą ziemię pieczoną, a Dajakowie — suszoną na słońcu. W Surabaja wyrabiają z ziemi „ciastka“, które przed upieczeniem maczają w słonej wodzie. Na chorobę „beriberi“ panującą na Jawie, mieszkańcy uważają jako środek najskuteczniejszy — jedzenie ziemi. Na wyspie Borneo, w kopalniach węgla kamiennego, robotnicy jedzą rodzaj łupku węglowego, glinę z domieszką krzemionki. Surogat ten jednak, jak dowiodła analiza, jest stanowczo zdrowiu szkodliwy, to też robotnicy ci mają wygląd melancholików, są wychudzeni, cierpią na zapalenie ócz i wcześnie umierają.

Tunguzi, Czukcy i Kamczadale jedzą delikatną glinę szlamowaną, która ma wygląd śmietany, a smak wcale niezły, choć nieco cierpki. Glina ta jest galaretowatą pozostałością skały



ODBUDOWA SOLI.

trachitowej. W Chinach kobiety jedzą glinę, aby mieć białą cerę, to też na targach tamtejszych spotkać można wielu handlujących ziemią. Na Jesso zamieszkali Ainosi jedzą glinę, zmieszaną z korzeniami roślin i ziołami.

Na Nowej Gwinei Papuasi rozkoszują się smakiem ziemi jadalnej, sprzedawanej w postaci placków, z dziurką w środku. Analiza chemiczna znalazła w tym przysmaku magnezję, tlenek żelaza, glinę, kwas krzemowy, wapno i kwas fosforowy. Mieszkańcy Nowej Zelandji jadali dawniej szlam, wyrzucany przez wulkany i białą glinę alkaliczną, mogącą służyć jednocześnie za mydło. Na Nowej Kaledonji Kanacy zaspakajali głód zielonym steatytem, zawierającym w sobie sporo miedzi. W czasie głodu dawni krajowcy Taiti jadali pewien gatunek ziemi czerwonej. Dzikie ludy z Florydy pająki, jaszczurki i węże jadają, z przyprawą pewnego gatunku tłustej ziemi.

W miastach amerykańskich na targach sprzedają pastylki z lekko wypalonej ziemi gliniastej; pastylki te są przysmakiem dla krajowców. Indjanie w Guatemali do potraw używają wielce cenionej ziemi, składającej się z popiołów wulkanicznych. Na Martynice w r. 1751 niewolnikom potajemnie sprzedawano ulubioną przez nich ziemię żółtą i czerwoną. Plemię Karibów leczy dzieci ziemią jadalną. W Kolumbji dawniej na targach sprzedawano ziemię wapienną, którą jedzono z liśćmi koki.

Żydówki kaukazkie, kobiety z Damaszku, Persji, Indji, Mongolji, w Syamie, w Afryce, w Guatemala, będąc w stanie ciężarnym, jadają ziemię. Wiele zaś ludów jada ziemię jako obrzęd religijny, lub jako środek leczniczy.

Jedzenie jednak ziemi, chociaż tak rozpowszechnione wśród ludów mniej cywilizowanych, wywołuje prawie zawsze pewne choroby, kończące się śmiercią. Wogóle jako cechy charakterystyczne ludów tych zauważono: ogólne wycieńczenie, brzuch obwisły, obrzmienie śledziony i wątroby, cera blada, a nadto zawsze objawy cierpień moralnych i nostalgja.

Prof. ALEKSANDER BRÜCKNER.

Wiek Zygmunta Starego.

HUMANIZM.

Pojawiły się wreszcie dwa pierwsze zeszyty książki pp. Aleksandra Brücknera poświęconej zarysowi polskiej literatury. Za nim podamy dokładniejszą ocenę tego znakomitego autora zamieszczamy obecnie ustęp z rozdziału omawiającego epokę Humanizmu w Polsce.

* * *

Oświatą stoją narody, siłą państwa, lecz obie niezawsze w parze chodzą. Rosła Polska Zygmuntowska w bogactwa umysłowe, aż do podziwu i zazdrości ościennym narodom, lecz słabła jej więź państwowa. Jakież zasoby wniosła Polska ze średniowiecza w wiek XVI-ty?

Gdy rządy monarchiczne państw ościennych w coraz nowe siły wzbierały, musiał Polsce na cały dalszy jej pochód dziejowy starczyć ów kapitał, uzbierany za Piastów, powiększony za Jagiellonów. W XV. wieku przedstawiał on się imponująco. Zwróciły się oczy i umysły ku tej Polsce: witano w niej wcześnie sprzymierzeńca przeciw Turkom: proroctwa i widzenia opiewały sławę białego orła, który i z Konstantynopola niewiernych, i z Pragi kacerzy miał spędzić i wieczysty pokój ludzkości zapewnić.

Lecz szpony orła wcześnie stępiały. Klęski, warneńska i bukowińska, unicestwiły plany tureckie; długa wojna pruska i wojna z Maciejem świadczyły o dziwnej niegotowości do bojów, o ociąganiu się szlachty od jedynego jej obowiązku, o powolnem ale statecznem jej gnuśnieniu. Na wschodzie przyjęto politykę zupełnej rezygnacji; łudzono się oczywiście, że podział między wschodnią a zachodnią Rusią da się utrzymać, nie zastawiono się więc o Nowogród i Psków, przymknięto oczy na niebezpieczeństwo od Moskwy, groźne a jawne, skoro raz z Moskwy hasło do zbierania ziemi ojczystych wyszło. Półwiekowe niemal rządy Zygmunta Starego, pana łagodnego, ludzkiego, rozjemcy między monarchami europejskimi, przyniosły błogi pokój, ale okupiły go zbyt drogo, bo i naród zgnuśniał do szczętu, i zrzeczono się nabytków i widoków wielkopaństwowej polityki. Węgry i Czechy oddano Habsburgom, Prusy ześwieczczone otrzymał Albrecht, przed Moskwą broniono się niedbale, chociaż, kto Smoleńsk stracił, Połocka i Kijowa również pewnym być nie mógł. Schodziła więc już Polska z dominującego na wschodzie stanowiska: ale trwały jeszcze świetne pozory. Bezwładność na zewnątrz tłómaczyły stosunki wewnętrzne. Dobiła się szlachta, już nie samo możnowładztwo, znaczenia rozstrzygającego i wyzyskała je na zduszenie chłopa, usunięcie mieszczaństwa od rządu i rady, ograniczenie króla; kończył się proces wiekowy, rozpoczęty paktami koszyckimi z Ludwikiem i krakowskimi z Jagiełłą. Wyjątkowe swe wygody zapewniła sobie szlachta wszechstronnie, przykuła chłopa do ziemi, do robót i danin coraz cięższych, mieszczaninowi zabroniła posiadania ziemi, wejścia do wyższych dostojeństw (duchownych, o świeckich nie było i tak nigdy mowy) i przygotowała na upadek jego doszczętny osobne ustawodawstwo; królowi, w obawie przed zachciankami absolutystycznemi, wytrąciła oręż z ręki, nie pełniąc służby wojennej, a niedozwalając stosownych poborów na wojsko stałe — stałe dochody polskie, śmiano się później, starczyłyby właśnie na cyrulików dla wielkiej armii; bezkarność mordów i łupiestw zapewniali sobie silniejsi wobec zwłoki i niemocy sprawiedliwości. Już za Zygmunta wykluwało się to wszystko, aby przybrać później potworne rozmiary.

Narazie używało wszystko złotego pokoju, który syn Zygmuntów jeszcze na ćwierć wieku przedłużyć miał. I odmieniła się znowu Polska, najbardziej szlachta, oddająca się gorączkowo gospodarce, coraz intratniejszej wobec pracy pańszczyźnianej i zbytu gdańskiego czy wrocławskiego; ona, która dawniej za mieszczanami ani nadążyć nie mogła, prześcignęła ich teraz i przyćmiła bogactwami, polorem, kulturą, jak ich znaczeniem i siłą w rządzie już dawno wyprzedziła. I mściło się teraz na mieszczaństwie egoistyczne jego zasklepienie w korzyściach materjalnych, usuwanie się od spraw ogólnych, obce jego pochodzenie.

To zatarło się już było zupełnie, i za Zygmunta Starego znikały ostatnie jego ślady z miast i klasztorów. Proces zaczął się był zaraz w pierwszych latach zjawiania się przybyszów niemieckich, skoro ci się z Polkami żenili, mimo to przetrwał on dwa wieki. Żywioł niemiecki zasilali bowiem coraz nowi goście, nietylko ze Szląska, ale nawet z Frankonii, Szwajcarji i Alzacji nadciągający; nic bardziej pouczającego, jak opis Decjusza, jakto w ciągu XV. wieku Wissenburg alzacki w osobie Betmanów, Schillingów, Hersteinów, Decjuszów, Szmalców, Lemboków i t. d. do Krakowa się przenosił. Wzmacniała go autonomia, wymagająca języka niemieckiego, i związki zagraniczne. Rozwielmożył się więc ten język w Krakowie i po innych miastach, nawet miejscami po wsiach, a trwałą siedzibę uzyskał po cechach, kramach i ławach; w życiu codziennem ustępował jednak z czasem polskiemu: w połowie XV. wieku nawet w Krakowie zaznaczył się stanowczy przełom; w protokułach o cudach różnych świętych, gdzie mieszczanie zeznają, mimo nazwisk niemieckich zeznają oni już tylko po polsku, ci wszyscy Kopperschmider, Frischwoter i t. d., wyjątkowo zapisuje protokuł np. „mulier in toto teutonica“ (kobieta całkiem Niemka) albo np. roku 1455 piekarz krakowski Szczepan „Niemiec całkowicie“. Na początku XVI. wieku wieje już wiatr przeciwny, w samem mieszczaństwie, szczególniej niższem, rośnie niechęć przeciw Niemcom, już się Niemiec rodowity na rynku nie rozmówi i wszystko przepłaca, już Niemców gorzej, niż Żydów, uważają, a w niechęci tej przodują sami „Germanopoloni“ albo „polonicati Germani;“ przeniesienie niemieckiego kaznodziei z fary roku 1536 było niby oficjalnem uznaniem faktu dawnodokonanego.

Lecz z mową niemiecką po aktach i kazalnicach, z przybyszami Niemcami, których teraz Włosi coraz bardziej zastępują, nie niknęły z miast pomniki kultury niemieckiej, strzelisty gotyk ich tumów, ratuszów, sukiennic, ich snycerstwo i malarstwo, świecące w malaturach np. kodeksu Beheima największy tryumf urządzenia cechów, gildji i miast, ich zabawy i zwyczaje, cząbry zapustowe, kurki świąteczne (strzelanie), koniki (później zwierzynieckie), śmigusy i dyngusy rozmaite, burkaty cechowe. A już najmniej pozbywał się język obcych przymieszek. Właśnie na przełomie obu wieków zakorzeniły się nazawsze najpospolitsze wyrazy, rugując dawne słowiańskie, np. „los“ zamiast „żrzebia“ i t. p.; słowo już raz dawniej przyjęte, przejmowano ponownie, np. „dank“ obok „dzięku, hełm“, rugujący starszy szłom Jagiełłowy; urabiano na modłę niemiecką własne. np. „gajono“ sądy albo prawiono o „pokoju“ = izbie i „sklepie“ = kramie. A nietylko w ustach mieszczan pojawiały się cudze słowa lub zmienione własne, sięgały one przez kolonistów i do chłopa, i śmiano się później z gasy, tatynku (sporu) i wardęgi (dobytku) mazurskiej; używała ich również i szlachta, dumna ze swych „buntów“, wywołująca „obermana“ (jednacza) obcego i „tadynkująca“ (spierająca się) po sejmach. Ale nietylko słowa, narazie nie ginęła ani znajomość niemczyzny ani książka niemiecka, chociaż krakowscy drukarze jej już nie wybijali. W dwudziestych i trzydziestych latach drukowano przynajmniej słowniczki i inne najpopularniejsze książeczki (wiersze Katonowe obyczajowe, Dobrego zdrowia rządzenie i t. d.) z polskim i niemieckim tekstem. Po rzemiosłach nigdy go nie wykorzeniono: słownictwo cechowe całe niem zalane, wystarczy wziąć jakikolwiek inwentarz, z XVII. wieku jeszcze, aby się o tem przekonać; opieszałość słowiańska zadowalała się przejmowaniem obcego, byle gotowego — tak samo obfitował język cechowy czeski w niezliczone słowa najgrubszej niemczyzny. Sam żywioł niemiecki tylko miejscami trzymał się uporniej, np. w Wilnie, pod wpływem bliższego stosunkowo Królewca i Rygi, gdzie dotrwał do połowy XVII. wieku: niemieccy nauczyciele, predykanci „szpek augsburski“, drukarze „zur Wilda“, spierali się z Jezuitami i z ich uczniami jeszcze długo.

Rozluźniały się węzły średniowieczne z Niemcami nietylko, ale i z Węgrami. Węzły węgierskopolskie, zadzierzgnięte jeszcze w X. wieku, ścieśniły się najbardziej w XV., przyczynili się do tego nie sami Jagiellonowie na tronie węgierskim; spotykano licznych, wybitnych Polaków u biskupów i gubernatorów węgierskich, Lasocki był dyplomatą Jana Hunjadego, Grzegorz z Sanoka uczył jego synów, a Marcin Bylica z Olkusza to znakomity lekarz Macieja Hunjadego; odwrotnie zasilali węgierscy scholarowie bursy i lektorja krakowskie. Stosunek obopólny przetrwał początek XVI. wieku; mistrzowie krakowscy przenosili się do Węgier i wracali do Polski, korzystając z opieki możnych Turzonów; dawną spólność podtrzymywały stosunki z Zapolią, później z Batorym; wybijano w Krakowie najstarsze druki węgierskie; mimo to zmniejszała się rychło ilość studentów węgierskich, obniżało się znaczenie Krakowa dla Węgier. Węgrzy przywozili swe wina, udzielali ubiorów, sług (hajduków), piechoty i jej musztry i uzbrojenia — w zamian wywozili z Polski już tylko złoto, nie naukę, jak dawniej.

Za to rozsiadało się coraz gęściej i porastało w skarby żydowstwo. Nie pomagały przedstawienia mieszczan, skarżących się na intruzów od XIV. wieku, nie pomagała wymowa Kapistrana i duchownych: „niewierni“ znachodzili zawsze gorących opiekunów między dostojnikami świeckimi, choćby u Kallimacha. Wpływy ich wzrastały, już pod r. 1516 zapisał Decjusz skargę, odtąd tylokrotnie, a bezskutecznie, jak wszystkie inne skargi, powtarzaną: niema myta ani cła, któregoby nie dzierżeli, niema już prawie żadnego możnowładcy i dostojnika, któryby nie powierzał Żydowi zarządu domowego, Żydom nad Chrześcijaninami przewodzić nie pozwalał i ich nie obraniał, rychlej nił chrześcijan, przed krzywdą choćby zmyśloną; później dodawano skargi na Żydów-lekarzy, Żydów-rzemieślników, Żydów-dzierżawców. Nie tak, jak w innych krajach, — uważało się ich w Polsce za spółobywateli, wedle wyraźnych słów królewskich; nie dziw więc, że się nietylko organizowali, ale pojawiały się między nimi i wyższe dążenia umysłowe, i ci sami Żydzi polscy, uchodzący w XV. wieku jeszcze za nieuków, żyjących okruchami wiedzy Żydów zachodnich, uczyli się teraz, drukowali (w Krakowie i Lublinie), rabinowie ich nabierali największej powagi między swoimi, i sława ich djalektyki niezrównanej rozszerzała się niebawem na zachodzie; z pism ówczesnego Żyda litewskiego, Izaka z Trok, czerpali w XVIII. wieku encyklopedyści francuzcy najjadowitsze strzały przeciw chrześcijaństwu.

Obok Żydów wyliczano wtedy Ormian, kupców, przebiegających kraj, osiadłych w koloniach, np. we Lwowie, podejrzywanych o konszachty z Turkiem; wyrosła z nich klasa zamożna, po przyjęciu unii (r. 1629) zaczęli się zlewać z Polakami zupełnie i od drugiej połowy XVII. wieku, mianowicie zaś w XVIII. (Minasowicze, Muratowicze, Piramowicze i t. d.) wystąpili, jako pożyteczni pracownicy na polu literatury, cierpiący tylko na słabość przywłaszczania sobie dawniejszych znakomitości, choć nie z ich łona wychodziły, np. Szymonowica.

Pominąwszy te nieliczne odłamki innych narodów, które, prócz Żydów, w masę etnograficzną polską całkowicie wsiągnęły, pominąwszy Tatarów litewskich, którzy się po wiekach również zasymilowali, i cyganów, dzikich i dziś jak i niegdyś, stosunek do Rusi i Litwy rozstrzygał o dalszym rozwoju rasy, obyczaju, języka, a więc i literatury polskiej. W różnych dzielnicach ruskich i litewskich układał się ten stosunek odmiennie. Na Rusi polskiej zadokumentowała się niebawem przewaga polskiego żywiołu po grodach i miastach, emigracja i rozrost szlachty polskiej, wielkiej i drobnej, mieszczaństwa niemieckiego, polonizującego się niebawem, dwory, sądy i szdoły odruszczyły niebawem ziemię przemyską, lwowską, halicką, bełską; sięgnęła kolonizacja polska niebawem nawet na Wołyń i Podole, z wyjątkiem niektórych rodów polszczyła się i katolizowała szlachta ruska, polska zaś domieszkę krwi ruskiej strawiała, wyższa w kulturze; lud tylko i niższe duchowieństwo, po wsiach i miastach (w Przemyślu, Lwowie i t. d.), zostawały prawosławnem, i obrządek strzegł ich od wynarodowienia. Litwa dzieliła się na właściwą, etnograficznie odrębną, która z Jagiełłą katolicyzm przyjęła, i na rozleglejszą ruską, prawosławną. Litwini katoliccy, na niedostępnej Żmudzi głównie, pozostali do dziś Litwinami, podczas gdy Wilno z okolicami wcześnie się spolszczyło; wszystkie rody litewskie katolickie, Gasztołdowie, Giedrojcie i t. d. już w drugiem pokoleniu były polskiemi, była ich w XV. wieku spora liczba na uniwersytecie, jeden wliczał się w szereg świętych polskich; przechodzili oni te same koleje, co i ród królewski. Na Rusi litewskiej szły rzeczy z początku odmiennym torem. Sanguszkowie, Ostroscy, Sapiehowie, Czartoryscy i t. d. pozostawali narazie przy obrządku wschodnim, jak i niektórzy Gedymowicze, rzucali nawet Litwę dla Rusi moskiewskiej (Glińscy, Bielscy, Golicyni i inni), pociągającej ich obrządkiem nie odstraszającej — przed Groźnym — samodzierżstwem. Ale i wierni obrządkowi wschodniemu nawykali polszczyźnie nie gorzej, jak tamci; w wieku XVI. Gasztołd i Radziwiłł, Kiszka i Sapieha władali polszczyzną w piśmie i mowie, jak Tarnowscy i Tęczyńscy; ruskie słowo lub przysłowie, trafnie używane, od czasu do czasu, jedynie Ruś zdradzało.

I zaczynał się już z końcem XV. wieku wpływ języka i literatury polskiej na ruską i zdobywała polszczyzna drogą pokojową, naturalną, bez cienia przymusu, obszerne dzielnice, daleko poza własnemi granicami etnograficznemi, lecz tylko w warstwach wyższych, kulturalnych. Najpierw na Białej Rusi zaczęli tłómaczyć Rusini dzieła polskie, zaciekawiające ich silniej, niezwykłe legendy (np. o Trzech Królach), Mękę Pańską, zebraną z ewanielistów i rozszerzoną dodatkami, ewanielę Nikodemową, nieznaną Grekom; język ich ulega wcześnie zabarwieniu polskiemu, wstępującemu silniej i w języku urzędowym i u pisarzów czy tłómaczów jak Skoryna, pierwszy doktór-Rusin. Od Krakowa było światło na Ruś daleką; nie udała się wprawdzie próba dostarczania Rusi z nad Wisły ksiąg liturgicznych słowiańskich, gdyż cyrylickie druki i drukarnia Swajpolda Fiola, czynne w roku 1491 i 1492, niebawem uległy zakazowi duchowieństwa; katolicyzm średniowieczny był nadto podejrzliwy, przeszkadzał w Krakowie uczeniu się greczyzny, jako czemuś podejrzanemu, stawiał się przez teologa krakowskiego, Jana Sakrana, ostro przeciw „błędom“ ruskim.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.